

## Eliza Orzeszkowa

### *Nad Niemnem*

(fragm. 1.)

Kiedy wchodził do pokoju matki, od pierwszego spojrzenia poznać można było, że w drodze z Korczyna do Osowiec zajmowały go buntownicze myśli i że pod ich wpływem powziął jakieś energiczne postanowienie. Obok znudzenia i niesmaku jakieś stanowcze zdecydowanie się na coś malowało się w jego twarzy. Pocałował rękę matki i naprzeciw niej siadając zaczął:

– Powiedział mi Wincenty, że mama życzyła sobie widzieć się ze mną, gdy tylko do domu wrócę. A ja także w ten piękny wieczór z Korczyna wracając postanowiłem bardzo poważnie, pomówić dziś z mamą o rzeczach mających dla mnie wagę wielką, niezmierną...

Spojrzała na niego, w oczach jej zamigotał niepokój.

– Słucham cię, mów! Może myśli nasze spotkały się i o jednym przedmiocie mówić z sobą pragniemy.

– Wątpię – odpowiedział – jestem nawet pewny, że mamie nigdy nie przyszło na myśl to, co ja dziś mamie chcę zaproponować, a raczej o co chcę bardzo usilnie prosić.

Uśmiechnął się do matki pieszczotliwie, z przymileniem i, schyliwszy się znowu, piękną białą rękę na czarnej sukni spoczywającą pocałował.

– *Parions*<sup>1</sup> – zażartował – że propozycją moją mama będzie zdumioną... nawet oburzoną... *oh, comme je te connais, ma petite, chère maman*<sup>2</sup>!... ale po namyśle i spokojnej rozwadze, może...

– Słucham cię – powtórzyła, a piękne jej oczy, których blask łzy i tęsknoty zgasiły, z niewysłowionym wyrazem powściąganego czułości spoczywały na tej pochylonej ku jej kolanom głowie, na którą, Boże! Ileż nadziei, ileż jej cudownych marzeń i namiętnych modlitw spłynęło!

Głowę podniósł, ale nie wyprostował się, tylko w poufnej i razem coś pieszczotliwego mającej w sobie postawie, ręki matki z dłoni nie wypuszczając mówić zaczął:

– Nieprawdaż, najlepsza mammo, że u stóp twoich i u twojego serca dziecinne i trochę późniejsze nawet lata spędziłem tak, jak spędzać je musiała *la belle au bois dormant*<sup>3</sup>, słodko drzemiąca w swym kryształowym pałacu, wśród zakłętego lasu, którego nigdy nie dotykała jej stopa i z którego przychodziły do niej tylko wonie kwiatów i śpiewy słowików? Nieprawdaż, *chère maman*, że usuwałaś mię starannie od wszystkiego, co powszednie i pospolite, a przyzwyczajałaś w zamian do rzeczy pięknych, do uczuć delikatnych, do marzeń wzniosłych, nieprawdaż?

– Prawda – odpowiedziała.

– I to także jest prawdą, moja mammo, że przeznaczałaś mię do zadań i losów zupełnie niepospolitych, wysokich... a tak wszystko skierowywałaś, abym nie mógł i nie chciał mieszać się z szarym tłumem? Czy to jest prawdą, moja mammo?

– Tak – odszepnęła.

---

<sup>1</sup> *Parions* – (franc.) załóżmy się

<sup>2</sup> *Oh, comme je te connais, ma petite, chère maman* – (franc.) o jakże cię znam, moja mała, kochana mammo

<sup>3</sup> *La belle au bois dormant* – (franc.) śpiąca królewna

Z powstrzymywaną ciągle czułością, której Głucha obawa zwalczyć nie mogła, słuchała jego mowy płynnej, pełnej wdzięku i czuła na swojej ręce pieszczotę jego ręki miękką, delikatną. Takim, jakim przedstawiał się w tej chwili, łagodny, rzewny, na skrzydłach poezji kołyszający się, Zygmunt czarował ją zawsze i nie tylko ją jedną, bo i tę także duszę kobiecą, z którą rozstał się on przed godziną, a która długo jak ptak upojony kapiała się w tym czarze, i tę drugą, prawie dziecinną jeszcze duszyczkę, która teraz na dole tego domu tonęła w łzach i trwodze, i – wiele zapewne innych na szerokim świecie.

– Nieprawdaż, *mon adorée maman*<sup>4</sup>, że potem sama wysłałaś mię w świat szeroki, gdzie wiele lat spędziłem wśród najwyższych wykwintów miast, wśród najwspanialszych widoków natury, na łonie sztuki... że przez te lata zupełnie odwykłem od tutejszej szarości i pospolitości, do których zresztą i nigdy przyzwyczajony nie byłem żyjąc w twoim idealnym świecie, tak jak zaklęta księżniczka żyła w swym kryształowym pałacu? Nieprawdaż, moja najlepsza, najrozumniejsza mamo?

– Prawda. Ale do czego zmierzasz?

– Zmierzam naprzód do tego, aby ci, *ma chère maman*, powiedzieć, że za wszystko, co wyliczyłem, jestem ci gorąco, niewypowiedzianie wdzięcznym...

Tu pochylony znowu ustami dotknął jej kolan.

– Następnie do tego, że przecież rzeczą jest niepodobną, zupełnie niepodobną, abym po takiej, jak moja, przeszłości, został na zawsze przykuty do tego kawałka ziemi, do tych stajen, stodół, obór... *que sais-je*<sup>5</sup>? do tego okropnego Jaśmonta, który co wieczór przychodzi mi klektać nad głową o gospodarstwie... do tych... tych... *que sais-je*? zamaszystych i razem jak nieszczęście znękanych sąsiadów... Czyż to podobna? Moja droga mamo, czyż ktokolwiek, po takiej, jak moja, przeszłości, wobec takich, jak moja, ambicji i potrzeb może wymagać tego ode mnie?

Ręce szeroko rozpostarł, oczy mu się trochę szerzej niż zwykle rozwarły, zmarszczka przerznąła czoło. Silnie do głębi był przekonany, że wymaganie, o którym mówił, byłoby absolutnie niemożliwym i niesprawiedliwym. Pani Andrzejowa myślała chwilę. Do pewnego stopnia słuszności skargom syna nie odmawiała. Pamiętała wybornie o swoich własnych wstrętach i nieudolnościach. Po chwili z namysłem mówić zaczęła:

– Ciernie twojego położenia rozumiem dobrze. Wszystko to, co wyliczyłeś, czyni je dla ciebie trudniejszym, niż bywa ono dla innych. Jednak, moje dziecko, niczyje życie na tej ziemi nie może być wolnym od usiłowań, walk, cierpień i spełniania trudnych...

Prędko z krzesła wstając mowę jej przeciął:

– Dziękuję! Mam już tych usiłowań, walk i cierpień aż nadto dosyć. Utopiłem w nich dwa lata mego życia. *J'en ai assez*<sup>6</sup>!

– Gdybyś był wyjątkiem... Ale... wszyscy jesteśmy nieszczęśliwi...

Stając przed matką zapytał:

– Nie jest przecież życzeniem mamy, abym pomnażał poczet nieszczęśliwych?

W głosie jej czuć było trochę drżenia, gdy odpowiedziała:

– Nie ma na świecie matki, która by dziecko swoje nieszczęśliwym widzieć chciała, ale ja dla ciebie pomiędzy niskim szczęściem a nieszczęściem wzniosłym wybrałabym drugie.

– Któż tu mówi o szczęściu niskim? – zarzucił – czyż przyjemności wyborowych towarzyszt, piękności wspaniałej natury, rozkosze sztuki stanowią niskie szczęście?

– Najpewniej nie. Ponieważ jednak tu się urodziłeś, tu są twoje obowiązki, tu żyć musisz...

– Dlaczego muszę? – przerwał – dlaczego muszę? Ale właśnie przybyliśmy w rozmowie naszej, droga mamo, do punktu, na którym umieszczę moją propozycję... *non!* moją najgorętszą prośbę...

<sup>4</sup> *Mon adorée maman* – (franc.) uwielbiana mamo

<sup>5</sup> *Que sais-je* – (franc.) czy ja wiem

<sup>6</sup> *J'en ai assez* – (franc.) mam tego dosyć

Zawahał się przez chwilę, potem znowu przed matką siadając znowu pochylił się ku jej kolanom i rękę jej wziął w swoje dłonie. Znowu też pieszczotliwie, z wdziękiem, z odcieniem rzewności i poetyczności, mówić zaczął. Mówił o tym, aby sprzedała Osowce, które były dziedziczną jej własnością, i aby z nim razem za granicę wyjechała. Mieszkać będą w Rzymie, Florencji albo w Monachium, każdego lata wyjeżdżać w góry lub nad morze. Kapitał osiągnięty ze sprzedaży Osowiec w połączeniu z tym, co Klotylda posiada i jeszcze w przyszłości od rodziców otrzyma, wystarczy im na życie, nie zbyt wysokie wprawdzie, ale dostatnie i bardzo przyjemne. Zresztą, on może jeszcze kiedyś i bardzo bogatym zostanie, gdy w otoczeniu stosownym artystyczne natchnienia i zdolność twórczą odzyska. Życie i podróżować będą zawsze razem, przyjemności wysokich używać, wszystkie marzenia swoje spełniać, tylko trzeba, aby wydostali się stąd koniecznie, aby koniecznie i co najprędzej wynurzyli się z tego morza pospolitości, nudy i powszechnych złych humorów. Z lekka żartować zaczął:

– Nieprawdaż, moja złota mamó, że tu panuje powszechny zły humor? Wszyscy po kimś albo po czymś płaczą, zbiedzeni, skłopotani, przelęknieni... Stąd płynie melancholia, *qui me monte á la gorge* i dławi mię jak *globus histericus* tę biedną panią Benedyktową... Raz tylko wyjeżdżałaś za granicę, droga mamó, i to dawno... jeszcze z ojcem. Nie znasz więc różnicy atmosfer... nie wyobrażasz sobie, ile znalazłabyś tam rzeczy pięknych, ciekawych, wzniosłych, prawdziwie godnych twego wykształcenia, smaku i rozumu!...

Milczała. Z głową podniesioną i spuszczonej powiekami siedziała nieruchomo, nie odbierając mu swojej ręki, która tylko stawała się coraz zimniejszą i sztywniejszą. Na koniec cicho, ale stanowczo przemówiła:

– Nie uczynię tego nigdy.

Porwał się z krzesła.

– Dlaczego? dlaczego?

Podnosząc na niego wzrok głęboki i surowy odpowiedziała:

– Dlatego właśnie, co powiedziałeś... Dla tej właśnie melancholii...

– Ależ to jest wściek... *pardon!* krańcowy idealizm! Krańcową idealistką jesteś, moja mamó! Skazywać się na wieczny smutek, kiedy uniknąć go można, przyrastać do zapadłego miejsca na kształt grzyba, dlatego tylko że inne grzyby siedzieć w nim muszą – to idealizm bezwzględny, krańcowy idealizm!

Patrząc mu prosto w oczy zapytała:

– A ty, Zygmuncie, czy nie jesteś idealistą?

On! ależ naturalnie! Uważa się on za idealistę i nie przypuszcza nawet, aby go ktokolwiek o materialistyczne zasady albo dążności mógł podejrzewać. Ale w tym właśnie tkwi niemożność pozostawiania jego tutaj. Spragniony jest ideałów i wyższych wrażeń, a otacza go sama pospolitość i monotonia. Idealistą zresztą będąc do ascetyzmu skłonności nie posiada. Fakirem ani kamedułą zostać nie może. Jest on człowiekiem cywilizowanym i posiada potrzeby zaszczerpione w niego wraz z cywilizacją: potrzeby uciech i rozrywek pewnego rzędu, tu do znalezienia niepodobnych. Dla braku wrażeń pracować nie mogąc, nie ma także żadnych przyjemności, a całe dni przepędzać bez pracy i bez przyjemności jest to życie prawdziwie piekielne, od którego oszaleć można, nie tylko już ze zmartwienia i tęsknoty, ale z samej nudy...

Unosił się. Od dawna już pracujące w nim niezadowolenie i zniecierpliwienie teraz, wobec oporu matki grożącego ruiną jedyemu jego ratunkowemu planowi, nadwerężało w nim nawet zwykłą wykwintność form. Wyglądał daleko mniej żurnalowo niż zwykle.

Z rękami w kieszeniach surduta pokój przebiegał; kilka razy gniewnie i niespokojnie własną swoją postać obejrzał.

– Tu każdy – wołał – największy choćby idealista, najgenialniejszy artysta, przemienić się musi w opasłego wołu... Ciało prosperuje, a duch upada. Czuję w sobie okropną degrengoladę

ducha... Prawdziwie i głęboko nieszczęśliwym jestem... Marnieję, ginę, wszystko, co jest we mnie wyższego, idealnego, przemienia się w żółć i tłuszcz!...

Przy ostatnich światłach kończącego się dnia pani Andrzejowa ścigała wzrokiem gwałtowną przechadzkę syna po pokoju i wtedy dopiero, gdy przerwał się na chwilę potok jego wpółgryźliwej, wpółżałosnej mowy, głosem, który z dziwną trudnością wychodził z jej piersi, zauważyła:

– Czy zachęty do tej pracy, której pragniesz, i do tej, której nie lubisz, niejakiego przynajmniej wynagrodzenia braków, na które się skarżysz, nie możesz znaleźć w uciechach serca?... Ja kiedyś je posiadałam, znam więc ich moc i wagę. Jesteś, Zygmuncie, bardzo szczęśliwie ożeniony.

– Nie bardzo – sarknął.

Tak cicho, że zaledwie mógł ją dosłyszeć, zapytała:

– Czy nie kochasz Klotyldy?

Zakłopotany trochę, przechadzkę swą przerwał, stanął.

– Owszem... owszem... mam dla niej przywiązanie... dużo przywiązania... ale nie wystarcza mi ona... do duchowych moich potrzeb nie dorosła... ta wieczna jej czułość i nieustanne paplanie...

Z żywością mu przerwała:

– Jest to dziecko, piękne, utalentowane i namiętnie cię kochające dziecko, które w słońcu twojej miłości i przy świetle twego umysłu dojrzeć i rozwinąć się może... Nie tylko za szczęście, ale i za jej moralną przyszłość odpowiedzialnym jesteś...

– Pardon! – przerwał – na pedagoga nie miałem powołania nigdy i do kształcenia żony mojej nie obowiązywałem się przed nikim. *Ce n'est pas mon fait*<sup>7</sup>. Jest się dobraną parą lub się nią nie jest. *Voilà*<sup>8</sup>! A jeżeli w tym wypadku są jakieś nierówności, ofiarą ich z pewnością jestem ja.

Plecami do pokoju zwrócony stanął przed oknem, za którym słońce, już niewidzialne, zapalało nad drzewami parku szeroki pas różowy. Przez kilka minut panowało milczenie, które przerwał stłumiony głos pani Andrzejowej. Czuć w nim było zdejmującą ją niewysłowioną trwogę.

– Zygmusiu, chodź do mnie... chodź tu... bliżej!

A gdy o parę kroków od niej stanął, szeptem prawie mówić zaczęła:

– Na wszystko, co kiedykolwiek nas z sobą łączyło, co kiedykolwiek kochałeś, proszę cię, abys mi odpowiedział szczerze, zupełnie szczerze... Złękłam się, widzisz, niezmiernie myśli, która do głowy mi przyszła... Uczułam niezmierny ciężar na sumieniu... Jednak pragnę wiedzieć prawdę, aby móc jasno rozpatrzyć się w położeniu i co jest jeszcze do naprawiania, naprawić, czego uniknąć można, uniknąć... Czyżbyś prawdziwie i stale kochał Justynę? Czyżby to uczucie było przyczyną tak prędkiego zobojętnienia twego dla Klotyldy? Czy... gdybym... zamiast zrażać, zachęcała cię była do ożenienia się z Justyną i gdyby ona była teraz twoją żoną, czułbyś się szczęśliwszym, mężniejszym, lepiej do życia i jego obowiązków uzbrojonym?

Zapytań tych, wysłuchał z trochę gorzkim, a trochę lekceważącym uśmiechem, po czym z rękami w kieszeniach i podniesionymi trochę ramionami przechadzkę po pokoju znowu rozpoczynając odpowiedział:

– Bardzo wątpię. Wie mama, że rozczarowałem się do niej zupełnie. Zimna jest, przesądna, ograniczona, przybiera jakieś pozy bohaterki czy filozofki... Przy tym dziś właśnie zauważyłem, że ma takie zgrubiałe ręce i w ogóle wygląda więcej na prostą, hożą dziewczkę niż na pannę z dobrego towarzystwa... Już też Klotylda daleko jest dla mnie stosowniejszą... bo delikatniejsza, staranniej wychowana i wcale ładny talent do muzyki posiada... wcale ładny...

<sup>7</sup> *Ce n'est pas mon fait* – (franc.) to nie moja rzecz

<sup>8</sup> *Voilà* – (franc.) otóż to

Tylko że ja dziwnie łatwo oswajam się ze wszystkim, a jak tylko oswoję się, zaraz mię nudzi... *Ca dépasse toute idée*<sup>9</sup>, jaki ja mam głód wrażeń... Prawdziwie, pod tym względem nienasycony jestem i dlatego właśnie w tej tutejszej monotonii ginę, marnieję, przepadam...

Mówił jeszcze czas jakiś, ale trudno było zgadnąć, czy pani Andrzejowa go słuchała. Odpowiedź jego upewniła ją o dwóch rzeczach: naprzód o tym, że przez Justynę odtrąconym został, następnie, że żadnej z tych dwóch kobiet prawdziwie i stale nie kochał. Czy kogokolwiek lub cokolwiek mógł kochać? Powoli, powoli wyniosła kobieca głowa żałobnym czepkiem okryta chyliła się na pierś, w której wzbierała hamowana jeszcze burza uczuć, i podniosła się znowu wtedy dopiero, gdy Zygmunt kroki swe przed nią zatrzymując raz jeszcze ze zmieszaniem prośby i wyrzutu, pieszczotliwości i zniecierpliwienia pytać zaczął: czy cierpienia jego nie skłonią ją do wykonania planu, który ułożył? czy po namyśle, zimno na rzeczy spojrzawszy, nie zgodzi się na to, czego on pragnie i dla podtrzymania swoich twórczych zdolności, dla uniknięcia ostatecznej degrengolady ducha koniecznie potrzebuje?

Wtedy pani Andrzejowa głowę podniosła znowu i głosem, w którym brzmiała zwykła już jej wyniosłość i energia, odpowiedziała:

– Nigdy. Ja na te rzeczy nigdy zimno patrzeć nie będę. Dopóki żyję, nigdy na tej piędzi mojej rodzinnej ziemi, nigdy w tych ścianach obcy ludzie... obce bogi...

Nagle wybuchnęła:

– Wielki Boże! Ale po mojej śmierci ty to uczynić jesteś gotów... tak! ty to uczynisz pewno, gdy tylko ja oczy zamknę... Jak tchórz uciekniesz z szeregów zwyciężonych... jak samolub nie zechcesz łamać się chlebem cierpienia... Kawał Chrystusowej szaty rzucisz za srebrnik, ażeby kupić sobie życie przyjemne... Wielki Boże! Ależ ty chyba w chwili uniesienia... w dziwnym jakimś śnie okazujesz się takim... Zyguncie, o! mój Zyguncie! powiedz mi, że naprawdę inaczej myślisz, i czujesz...

Syn, spokojny i zimny, nie dając się unieść jej wybuchowi, jakby jej prawie nie słuchając mówił:

– Niech się mama nie unosi! Ależ, moja droga mammo, proszę się tak nie unosić! Któż tu mówi o samych tylko przyjemnościach życia? Mnie idzie o coś wyższego, ważniejszego... o moje zdolności... natchnienia...

– Czyż dusza artysty – zawołała – musi koniecznie być tylko motylem na swawolnych i niestałych skrzydłach przelatującym z róży na różę? Czy tu ziemia nic nie rodzi? czy tu słońce nie świeci? czy tu królestwo trupów? że żadnego błysku piękna i życia dokoła siebie znaleźć nie możesz?... że nic cię zachwyceniem czy bólem, miłością czy oburzeniem wstrząsnąć i natchnąć nie może? A ja marzyłam... a ja marzyłam...

Tu głos jej drzeć zaczął powściąganymi z całej siły łzami.

– A ja marzyłam... że tu właśnie, w otoczeniu rodzinnej natury, wśród ludzi najbliższych ci na świecie, twórcze zdolności twoje najpotężniej w tobie przemówią... że raczej tu właśnie najpotężniej przemawiać do nich będzie każda roślina i każda twarz ludzka, każde światło i każdy cień... że właśnie soki tej ziemi, z której i ty powstałeś, jej łzy i wdzięki, jej słodycze i trucizny najłatwiej wzbijają się ku twojej duszy i najpotężniej ją zapłodnią...

Stojąc przed nią w postawie zbiedzonej, prawie skurczonej, ręce gestem zdumienia rozkładał i prawie jednocześnie z nią mówił:

– Ależ ja tego wszystkiego nie znam... ja, ma chère maman, z tymi światłami, cieniami, słodyczami, truciznami etc., etc. od dzieciennych dni nie przestawałem nie zżyłem się... nie przywykłem do nich... wcale do czego innego przywykłem... Nie możnaż z cywilizowanego człowieka przedzierzgnąć się na barbarzyńcę z powodu... z powodu soków ziemi, z którymi się do czynienia nie miało!

---

<sup>9</sup> *Ca dépasse toute idée* – (franc.) to przechodzi wszelkie wyobrażenie

Powoli, obu dłońmi opierając się o stół, bo może nogi posłuszeństwa jej odmawiały, powstała i zapłakała tak, jak płakała zwykle, bez łkania, bez najlżejszego drgnienia rysów, kilku grubymi łzami, które powoli stoczyły się po jej policzkach.

– Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina!– powoli wymówiła. – Zbłądziłam. Pomiędzy tobą a tym, co powinno być najwyższą twoją miłością, nie zadzierzgnęłam dość silnych węzłów. Mówiłam ci wprawdzie o tej miłości zawsze, wiele... ale słowa, to widać siew nietrwały... Zbłądziłam... Ale, dziecko moje...

Tu białe ręce modlitewnym gestem na staniku żałobnej sukni splotła.

– Nie karz ty mnie za mój błąd mimowolny... o, mimowolny! bo myślałam, że czynię jak najlepiej... Zamykałam cię w kryształowym pałacu i w dalekie światy wysyłałam, bo w myśli mojej miałeś być gwiazdą pierwszej wielkości, nie zaś pospolitą świecą, wodzem, nie szeregowcem. Widać zbłądziłam, ale ty błąd mój popraw. Pomyśl, głęboko pomyśl nad krótką historią swego ojca, którą znasz dobrze. Czy nie możesz z tego samego co on źródła czerpać siłę, męstwo, moralną wielkość? Twój ojciec, Zygmuncie, oprócz wielu innych rzeczy wielkich kochał ten sam lud, którym i ty otoczony jesteś, posiadał sztukę życia z nim, podnoszenia go, pocieszania, oświecania...

Nagle umilkła. W zmroku, który zaczynał już pokój ten napełniać, usłyszała głos drwiący i pogardliwy, który jeden tylko wymówił wyraz:

– Bydło!

O, Bóg niech będzie jej świadkiem, że pomimo wszystkich swoich instynktownych odraz i niedołężności nigdy tak nie myślała, nigdy na wielkie zbiorowisko ludzi, najbliższych jej w świecie ludzi, takiej obelgi, w najgłębszej nawet skrytości myśli swej nie rzuciła; że zbliżyć się do tego zbiorowiska, przestawać z nim, pracować nad nim nie umiając sprzyjała mu serdecznie i dla najnędniejszej nawet istoty ludzkiej miała jeszcze życzliwość i choćby bierne współczucie. O, Bóg tylko jeden widział burzę przerażenia, którą w niej wzniecił ten jeden wyraz z obojętnie wzgardliwych ust jej syna spadły, bo on tej burzy, która jej głos odebrała, ani kredowej bladeści twarz jej oblewać poczynającej nie spostrzegł i stając przed nią, jakby z milczenia jej chciał korzystać, mówić zaczął:

– Bardzo dobrze rozumiem, o co kochanej mamie najwięcej idzie. I jakże nie rozumieć? Soki ziemi, chleb cierpienia, Chrystusowe szaty, lud... słowem... jak mówi stryj Benedykt, to... tamto!... Nigdy o tym mówić nie chciałem, ażeby kochanej mamy nie gniewać i nie martwić. Szanuję zresztą wszystkie uczucia i przekonania, szczególnie tak bezinteresowne, o, tak nadzwyczajnie bezinteresowne! Ale teraz spostrzegam, że zachodzi konieczność szczerego rozmówienia się o tym przedmiocie. Otóż przykro mi to bardzo, *j'en suis désolé*<sup>10</sup>, ale ja tych uczuć i przekonań nie podzielam. Tylko szaleńcy i krańcowi idealisci bronią do ostatka spraw absolutnie przegranych. Ja także jestem idealistą, ale trzeźwo na rzeczy patrzeć umiem i żadnych pod tym względem iluzji sobie nie robię... a nie mając żadnych iluzji, nie mam też ochoty składać siebie w całopaleniu na ołtarzu – widma. Proszę o przebaczenie, jeżeli mamy uczucia czy wyobrażenia obrażam, ale rozumiem, doskonale rozumiem, że osoby starsze mogą zostawać pod wpływem tradycji, osobistych wspomnień etc. My zaś, którzy za cudze iluzje pokutujemy, swoich już nie mamy. Kiedy bank został do szczętu rozbity, idzie się grać przy innym stole. Tym innym stołem jest dla nas cywilizacja powszechna, europejska cywilizacja... Ja przynajmniej uważam się za syna cywilizacji, jej sokami wykarmiony zostałem, z nią przez tyle lat pobytu mego za granicą zżyłem się, nic więc dziwnego, że bez niej już żyć nie mogę i że tutejsze soki tuczają mi wprawdzie ciało w sposób... w sposób prawdziwie upokarzający, ale ducha nakarmić nie mogą...

Słuchała, słuchała i może miała takie poczucie, jak gdyby ziemia spod stóp się jej usuwała, bo obie jej dłonie mocno ścisnęły krawędź stołu.

---

<sup>10</sup> *J'en suis désolé* – (franc.) martwi mnie to

- Boże! Boże! – kilka razy z cicha wymówiła, a potem jedną rękę od stołu odrywając i ku oknu ją wyciągając, z trudem, zdławionym głosem zaczęła:
- Idź na mogiłę ojca, Zyguncie, idź na mogiłę ojca! Może z niej... może tam...
- Mogiła! – sarknął – znowu mogiła! Już druga dziś osoba wyprawia mię na mogiłę! Ależ ja za mogiły bardzo dziękuję... przede mną życie, sława...
- Bez sławy, bez grobowca, przez wszystkich zapomniany, w kwiecie wieku i szczęścia ze świata strącony, twój ojciec... tam...
- Mój ojciec – wybuchnął Zygmunt – niech mi mama przebaczy... ale mój ojciec był szaleńcem...
- Zyguncie! – zawołała, a głos jej dźwięczał zupełnie inaczej niż zwykle: przeraźliwie jakoś i groźnie.

Ale i on także miał w sobie trochę popędliwej krwi Korczyńskich, którą wzburzył niezłomny opór matki.

– Szaleńcem! – powtórzył – bardzo szanownym zresztą.. ale do najwyższego stopnia szkodliwym...

– Boże! Boże! Boże!

– Tak, moja mamó. Niech mama mnie przebaczy, ale ja mam prawo mówić o tym, ja, który nie mogę zająć przynależnej mi w świecie pozycji, który nieraz w szczęśliwszych krajach czułem przybite do mego czoła piętno niższości, który o połowę uboższy jestem przez to, że mój ojciec i jemu podobni...

– Wyjdź! wyjdź stąd! – nagle głos z piersi wydobywając zawołała. – Co najprędzej, o! co najprędzej... bo lękam się własnych ust... o!...

Nie dokończyła, tylko z wysoko podniesioną głową i twarzą, której kredowa bladość w ramie czarnego czepka odbijała na tle zmięzchu, rozkazującym gestem wskazywała mu drzwi.

– Ależ pójdę! pójdę! z mamą o tych rzeczach rozmawiać nie podobna! Mogiły, złorzeczenia, tragedie! Co się tu dzieje! Co się tu dzieje! I o co? za co? dlaczego? Gdyby o tym gdzie indziej opowiadać, nikt by nawet nie zrozumiał i nie uwierzył!

Wyszedł i po cichu drzwi za sobą zamknął.

KONIEC FRAGMENTU 1.